MEANDRY POLITYKI - *komentarz Michała Stefańskiego wyemitowany 21 stycznia 2018 roku.*

TRUMP I JEGO JĘZYK

Kilka dni temu w amerykańskim Senacie jedno ze swoich ostatnich przemówień wygłosił republikański senator Jeff Flake. Dużą część wystąpienia senatora zajęła gorąca polemika z poglądami, które od przeszło roku w przestrzeni medialnej popularyzuje prezydent Trump. Innymi słowy senator Flake - któremu do tego stopnia przejadło się reprezentowanie republikanów w epoce Trumpa, że niebawem zamierza w ogóle wycofać się z polityki – wysunął tezę, że obecny prezydent jest zaprzeczeniem tradycyjnego konserwatyzmu. Mówca poszedł dalej twierdząc, że Trump dzień po dniu szkodzi reputacji jego własnych kolegów i pozycji wielkiej dawnej partii powstałej za czasów Abrahama Lincolna. Przy czym, zdaniem senatora, główną bronią w niszczeniu dawnej tradycji jest język Trumpa. Ów język wypowiedzi aktualnego prezydenta ma za zadanie podkreślić rewolucyjność zmian, które mają się w Stanach w tych latach dokonać. Faktem jest, że nie ma w ciągu ostatnich stu lat ani jednego szefa państwa amerykańskiego formułującego swoje myśli w taki sposób jak Trump. Ani Franklin D. Roosevelt, ani Truman, ani Kennedy czy Nixon, ani Reagan i Clinton oraz obaj Bushowie – żaden z nich nie uprościł angielszczyzny w sposób tak drastyczny i bezkompromisowy jak uczynił to Donald Trump wspomagany przez swój sztab specjalistów od propagandy i garstkę ideologów, twórców pomysłu na „prawicę alternatywną” (w skrócie angielskim alt - right). Jest oczywistością, że ludność z amerykańskiej prowincji oraz zdeklasowana i bezrobotna (a niegdyś przemysłowa) klasa dolno-średnia była (i jest) autentycznie zachwycona słysząc, zamiast akademickich wywodów, zdania takie jak: Ten gość jest „dobry”, tamten jest „zły”, to jest „zabawne”, a tamto „smutne”. „Widzisz pan – ten facet mówi tak jak ja. Zagłosuję na niego.” Takich wypowiedzi przed wyborami było sporo – zarówno przed kamerami liberalnego CNN, jak i prawicowej telewizji Fox News.

Jednakowoż, forma wypowiedzi, styl wysławiania się - to nie wszystko. Wyborcy, ale też sponsorzy chcieliby w końcu wiedzieć jakie cele polityk stawia przed sobą oraz swoimi zwolennikami. Co oznacza dla niego słowo sukces? Co dla niego jest biegunem pozytywnym, a co negatywnym? Do niedawna - dla biznesmena Trumpa wszystko było proste. Najwyższym dobrem i celem ostatecznym był zysk. Teraz już niekoniecznie tak musi być. Szef administracji potężnego supermocarstwa musi mieć zdolność operowania takimi pojęciami jak: patriotyzm, duma narodowa,

sprawiedliwość, prawda, fałsz, moralność i wiele, wiele innych. I tak to stopniowo, w przemówieniach i „twitnięciach" Trumpa do swoich wyborców rosła – niczym kolosalny balon – postać wroga, nie tylko tego zewnętrznego, np. znanego skośnookiego grubasa z idiotyczną fryzurą czteroletniego malucha (tj. towarzysza Kim Dżong Una). Wróg, którego ludzie o umysłowości Trumpa boją się najwięcej to opozycja wewnętrzna, a na jej czele to prasa liberalna. To oni nie szanują wysiłków reformatorów państwa, to oni pomniejszają sukcesy, a wyolbrzymiają porażki, to oni przemilczają pewne fakty, a uwypuklają drugie, to oni prowadzą bezlitosne śledztwo tam, gdzie prawdziwy patriota powinien zamilknąć i iść za przywódcą. To oni wreszcie na stu estradach i w stu rozgłośniach obśmiewają mrówczą pracę u podstaw, która ma sprawić, że Ameryka wstanie z kolan i okaże swoją moc. Jak zauważył senator Flake, w pewnym momencie do przemówienia prezydenta Trumpa wśliznęło się określenie wróg ludu" (enemy of the people). Co to może oznaczać dla Amerykanów? Zdaniem Jeffa Flake znaczy to jedynie, że lider największej demokracji na świecie zaczął używać pojęć ze słownika stalinowskiego. Albo jeszcze szerzej – język dyktatorów – tych dawnych i tych obecnych zaczyna być używany w polityce USA. Miejsca na kompromis zaczyna brakować. Pytanie, czy większości na kompromisie zależy.

Wielu słuchaczy powie, że gwoli ścisłości i obiektywizmu należy jeszcze dopowiedzieć o tym, że - jak na razie - tzw. „zwykłemu człowiekowi" żyje się wcale nie gorzej (a może i lepiej) w Ameryce Trumpa niż w Ameryce Obamy. Wiadomo, że giełda idzie w górę, a bezrobocie w dół. Ponoć jedna z fabryk samochodowych wraca do ojczyzny w rejon zdewastowanego Detroit; podobno ma być ich więcej. „Ale jednak czegoś wciąż brak" – jak śpiewał rosyjski poeta i balladzista Okudżawa. Owe „grona gniewu" dojrzewające wśród jednej trzeciej Amerykanów, którym styl Trumpa wciąż się podoba, mogą wydać plon wcale nie taki, jakiego można by się spodziewać. Może jednak lepiej spuścić powietrze z balonu wyimaginowanego wroga i zająć się naprawą demokracji zdewastowanej jednakowo przez dogmatycznych liberałów, jak też nawiedzonych „alternatywnych konserwatystów".

Na dodatek, Amerykę czekają liczne wyzwania na scenie polityki zagranicznej. Czy znajdzie się taki lider, który zapędzi islamskiego dżina z powrotem do glinianej butelki i zakopie ją w piachu gdzieś na Półwyspie Arabskim na kilka następnych pokoleń? Czy owa alternatywna prawica będzie umiała wykreować taki poziom dumy odnowionej cywilizacji Zachodu (połączony wszakże z szacunkiem dla prawa, pracowitością i dyscypliną wewnętrzną), że takie kolosy jak Chiny, Indie czy schyłkowa Rosja nie będą w stanie zaproponować lepszej i oryginalnej formuły postępu? Od znalezienia praktycznej odpowiedzi na te pytania zależy los naszych dzieci i wnuków. Czy obudzą się one w nowoczesności jako niewolnicy zdehumanizowanego

świata nowych technologii i wrogich systemów społecznych, czy też wybiją się na niezależność, jakiej jeszcze nie znał nikt? Cokolwiek się okaże, wiadomo, że będzie to dotyczyć nie tylko Ameryki czy Polski, ale wszystkich państw Zachodu.